Miłość,
która przetrwała rozłąkę

Jolanta Łada-Zielke *(Hamburg)*

***

Moi pradziadkowie ze strony mamy pochodzili z Kresów Wschodnich i byli rówieśnikami. Kazimierz Dołęga-Wierzbowski, syn nadzorcy majątku w Jaryczowie, już w wieku szesnastu lat (1901) rozpoczął pracę w Zarządzie Lasów Ordynacji Łańcuckiej Potockich. W styczniu 1914 roku poślubił Józefę z Makolondrów, rodowitą lwowiankę, która ukończyła Szkołę Gospodarczą dla Dziewcząt w Wiedniu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do austriackiego wojska i po „bitwie galicyjskiej” we wrześniu 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. W momencie narodzin córki Zofii (listopad 1914) przebywał w Charkowie, a od 1917 roku w Kijowie.

Józefa Wierzbowska przez całą wojnę pracowała jako nauczycielka w jednej z lwowskich szkół. Dzięki studiom w Wiedniu władała biegle językiem niemieckim. Kiedy Lwów zajęli Rosjanie, wprowadzili zakaz używania „języka wrogów”, za którego przekroczenie groziły wysokie kary pieniężne. Józefa mówiła na co dzień wyłącznie po polsku. Na fotografiach z tamtego okresu prezentuje się jako przystojna dama o surowym wyrazie twarzy, w jasnej garsonce z długą spódnicą, białej bluzce i kapeluszu w ciemniejszym kolorze. Maleńką Zosię ubierała w białą bluzeczkę z szerokim kołnierzem, dwuwarstwową spódniczkę, rozpinany sweterek i zgrabne półbuciki. Dziewczynka nosiła też biały kapelusik z rondem wywiniętym do góry i opadające podkolanówki. Tak prezentują się na fotografii wykonanej w zakładzie „Kordian” przy ulicy Łyczakowskiej 9. Na ich wcześniejszym zdjęciu widnieje znak firmowy zakładu fotograficznego „Apollo” i adres – Łyczakowska 10. Czyżby dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne obok siebie, czy ten sam, tylko ze zmienioną nazwą i numerem lokalu?



Ślub Józefy i Kazimierza



Babcia Wierzbowska z babcią Zosią

Matka zostawiała Zosię samą w ich mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego, a w ciągu dnia posyłała do niej którąś z uczennic jako opiekunkę. Prawie codziennie pisywała do męża na specjalnych kartkach pocztowych, udostępnianych przez Czerwony Krzyż, najpierw do Charkowa, później do Kijowa. Adres należało wpisywać w dwóch językach, polskim i rosyjskim. Odwrotną stronę, przeznaczoną na korespondencję, wypełniała drobniutkim pismem, żeby na małej powierzchni zmieścić jak

najwięcej słów. Nawet kiedy dzisiaj się to czyta, wywołują wstrząsające wrażenie, są bowiem przepełnione niewyobrażalną tęsknotą.

> *Lwów, dnia 23 października 1916.*
>
> *Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Ucieszyłam się niezmiernie wiadomością od Ciebie, czekałam bardzo długo, prawie 2 miesiące, możesz sobie wyobrazić, jak się tem strasznie martwiłam, boć Ty Kazieńku Jedyny jesteś dla mnie wszystkiem, cały świat mnie nie obchodzi, Ciebie Jednego kocham nad życie. Zochna nasza codziennie prosi Bozię o szczęśliwy i jak najprędszy powrót Drogiego naszego Tatusia. Maleństwo swoim szczebiotem rozwesela mnie, bodaj na chwilę zapominam o tem osamotnionem obecnem życiu…*

Odpowiedzi od Kazimierza przychodziły nieregularnie, często z paromiesięcznym opóźnieniem. Przebijała z nich troska o zdrowie małżonki i wychowanie córki.

> *Kijów, 27 marca 1917.*
>
> *Najdroższa Józio! Już blizko dwa miesiące jak nie mam*

wiadomości od Ciebie, ostatnią kartkę otrzymałem z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja, chwała Bogu jestem zdrów, mam posadę przy tartaku, zarabiam nieźle. U was zapewne już wiosna, a tu dotychczas jeszcze ciągle zima trzyma. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jest mi smutno tembardziej, że jestem sam bez znajomych. O was ciągle myślę, jak tam żyjecie i czy jako tako powodzi wam się. Bardzo Cię proszę, byś się nie denerwowała i żyła spokojnie, czekając cierpliwie końca, z tą mocną nadzieją, że powetujemy straty nasze i urządzimy sobie życie, jakie nam samym podobać się będzie. Ucałowania jak najczulsze zasyłam i Zochę ściskam. Twój na zawsze Kazimierz.

Lwów, dnia 14 kwietnia 1917.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Pismo od Ciebie dodaje mi werwy do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, ażeby Cię móc zobaczyć. Gdyby nie nadzieja, że przecież temu wszystkiemu koniec będzie, to możnaby oszaleć. Zochna jak zwykle zgrabna i fertyczna, ale straszny wisus, usposobienie chłopca. Wkrótce przyślemy Ci naszą fotografię, ale chciałybyśmy mieć Twoją. Całuję Cię i ściskam jak najgoręcej. Józia.

> *Kijów, 30 czerwca 1917.*
>
> *Najdroższa Józko! Posyłam ci swoją podobiznę. Fotografowałem się zimą. Dzięki Bogu zdrów jestem. Zasyłam najserdeczniejsze ucałowania.*



Kazimierz Wierzbowski w niewol rosyjskiej

Na tej „podobiznie” stoi przystojny mężczyzna z wąsem i w

wysokich butach, oparty o coś w rodzaju obudowy kominka. Ale i on miewał momenty załamania.

> *Najdroższy, ukochany mój Kazieńko! Już trzy lata upłynęło naszej strasznej rozłąki, a jednak mimo że boleję bardzo nad tem, nie tracę nadziei, że przecież i dla nas zajaśnieje horyzont i dzisiaj czuję się więcej spokojniejsza aniżeli na początku. Przykro mi bardzo, gdyż z Twojej korespondencji skonstatowałam, że Ty Najukochańszy mój Kazieńko jesteś zdenerwowany w najwyższym stopniu i zaczynasz nawet tracić ochotę do życia. Proszę Cię, odpędź te przykre myśli, nie poddawaj się tej depresji duchowej, myśl zawsze o tem, że i ja również muszę cierpieć, a jednak znoszę wszystko w imię miłości bezgranicznej dla Ciebie i dziecka. A zatem Mężuniu mój jedyny uspokój się i proś Boga o zdrowie. My również z Zosieńką modlimy się o Twój szczęśliwy powrót…*

Kiedy Zosia miała dwa lata, pojawiła się możliwość spotkania z Kazimierzem w Kijowie, na co Józefa otrzymała specjalne zezwolenie. Pojechały tam pociągiem w wagonie trzeciej klasy, w strasznym ścisku. Dziewczynka usadowiła się na twardej, drewnianej ławce. Matka przez chwilę podróżowała na stojąco, aż w końcu wzięła małą na kolana.

– Bądź grzeczna i siedź cicho – przykazała jej – jedziemy do taty,

on jest w niewoli u Moskala.

Zosia była ciekawskim i trochę niesfornym dzieckiem, jednak na swój sposób zrozumiała powagę sytuacji. Siedziała więc poważna, skupiona, od czasu do czasu grożąc sama sobie paluszkiem i powtarzając cichutko: „Tata woli kala, tata woli kala…”

Pobyt obu pań Wierzbowskich w Kijowie trwał kilka dni. Po burzliwych powitaniach cała rodzina wybrała się na spacer po ulicach miasta. Rozdzieleni małżonkowie nie mogli się sobą nacieszyć. Zosię całkowicie absorbowało poznawanie świata. Na jednej z wystaw sklepowych spostrzegła konia na biegunach i zaczęła nudzić rodziców, żeby jej go kupili. Jej prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Wtedy dostała pierwszego klapsa od ojca. A kiedy byli już niedaleko domu, w którym Kazimierz miał kwaterę, zapragnęła nagle przejechać się tramwajem.

– Ale my już prawie jesteśmy w domu – próbował tłumaczyć ojciec.

Dziewczynka upierała się jednak przy swoim. Rodzice weszli z nią do jakiejś bramy i znów dostała parę razy po pupie.

– I co, chcesz jeszcze jechać tramwajem? – zapytał Kazimierz.

– Nie – odburknęła.

Po tej krótkiej wizycie matka z córką wsiadły do pociągu w miejscowości Popielna, aby wyruszyć z powrotem do Lwowa.

Parę miesięcy później wybuchła w Rosji rewolucja. Niektórzy jeńcy carscy zostali uwolnieni, ale Kazimierza nie wypuszczono. Jesienią 1919 roku napisał do żony długi list.

> *Najukochańsza Józko! Zapewne musiałaś pisać do mnie, lecz ja już siedemnaście miesięcy nie mam od Was najmniejszej wiadomości. Listy wysyłałem do Ciebie i Mamci, za pośrednictwem różnych ludzi, którzy przedzierali się przez front, lecz czy Ci doręczono? W 1919 r. w lipcu chciałem przedostać się do Galicji, w tym celu wyjechałem do Mińskiej Guberni. Front polski był nawet bardzo blisko, lecz niestety, nie tylko, że nie udało się moje przedsięwzięcie, lecz straciłem na to morze pieniędzy. Przeżyłem okropne czasy o głodzie i chłodzie, ustawiczne przewroty polityczne, a w rezultacie utrzymanie się władzy bolszewickiej na Ukrainie przez długi stosunkowo okres czasu. Co ludzie wycierpieli, tego opisać się nie da. Nic zarobić nie można było, ratowało mnie to, że miałem rzeczy i trochę oszczędzonych pieniędzy i jako tako egzystowałem. Drożyzna była tu wprost nie do opisania. Wprawdzie otrzymywałem 1000 rubli miesięcznie,*

lecz cóż z tego, kiedy chleb kosztował od 80 do 100 rubli za funt.

Pomimo tak ciężkich warunków, umiałem sobie jako tako radzić, a nawet coś nie coś zaoszczędzić, by z próżnemi rękoma nie wracać do domu i mieć od czego nowe życie zacząć. Na nieszczęście zachorowałem tego roku na tyfus plamisty, chorobę przechodziłem bardzo ciężko, wyzdrowienie moje zawdzięczam opiece, jaką miałem. Leżałem bez przytomności, jednym słowem było ze mną bardzo źle. Dzięki temu, że serce u mnie zdrowe, chorobę przetrzymałem. Cały czas leczenia kosztował mnie 50 tysięcy rubli, a zatem wszystkie swoje oszczędności i część rzeczy na to przeznaczyłem i wyekspensowałem się kompletnie, w danej chwili nie mam nawet za co wyjechać. Jest to dla mnie o tyle bolesne, że nadzieje moje spełzły na niczem. Myślałem, że mając trochę gotówki, po powrocie będę mógł nasze życie jako tako znośnie urządzić.

Obecnie przychodzę do zdrowia, lecz jestem jeszcze bardzo osłabiony. Proponują mi tu korzystną posadę w banku, lecz ja już nie mam sił dłużej tu siedzieć, tembardziej, że dla Ciebie strona to obca i tęskniłabyś, a zresztą nie chcę się tu już niczego dorabiać – za ten zarobek nie mogłem w swoim czasie wyjechać i tyle wycierpiałem. Na razie komunikacji do Lwowa nie ma, chodzą tylko pociągi wojenne. Jak tylko

będzie możliwość, bezzwłocznie wyjadę.

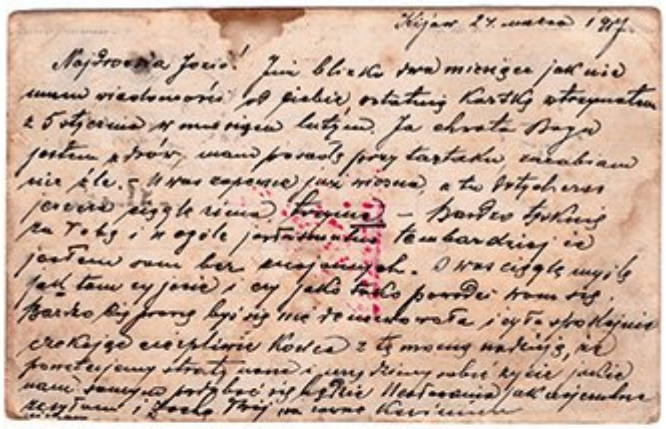
Tak jestem ciekaw, co tam słychać, jak żyjesz, zapewne Zosia rozpuszczona. Marzę o tym, by móc już raz znaleźć się wśród Was i chociażby mi Bóg dał kilka lat spokojnie żyć z Tobą.

Wybacz najdroższa Józio, że list może nie bardzo czuły, lecz jestem jeszcze tak słaby i swojem położeniem przelękniony, że doprawdy nie jestem w stanie zdobyć się na na list więcej przyjemny. List posyłam okazją, również nie jestem pewny, czy dojdzie. Zasyłam jak najczulsze ucałowania, Zosię ściskam serdecznie. Twój uważnie Cię kochający Kazimierz

Kijów 16/V/1920.

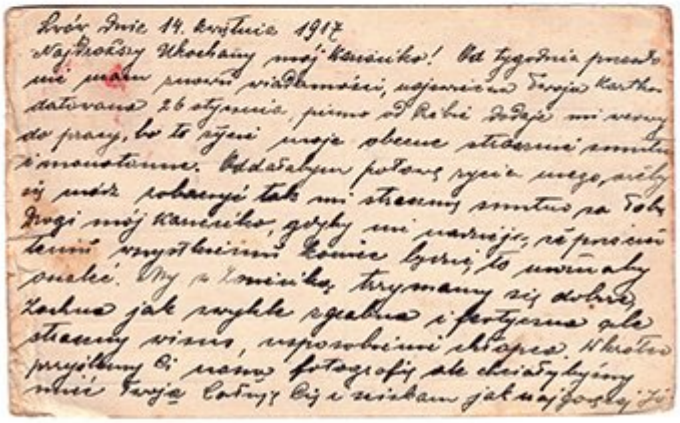
Zdaje się, że nie tak prędko będę mógł wyjechać, ponieważ władze wojskowe robią wielkie trudności z wydawaniem przepustek.

Korespondencja wojenna



Kijów 27 marca 1917

Najdroższa Jonio! Jak bardzo [illegible] jak wiele
mamy wiadomości od siebie ostatniej kartki otrzymałem
z 5 stycznia a od miesięcy lutego. Ja chwała Bogu
jestem zdrów, mamy powody przy tarcie nie narzekamy
nie źle. U was zapewne już mroźno, a tu [illegible]
jeszcze ciągle śnieg [illegible] – bardzo [illegible]
za Tobą i w ogóle jest [illegible] tu bardziej ich
jestem nam bez [illegible]. U was ciągle myślę
jak tam ty jesteś i czy jakoś [illegible] tam się
Bardzo bym pragnął być na miejscu [illegible] i czy to
zrobić [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]



Lwów dnia 14. kwietnia 1917

Najdroższy Ukochany mój Kanicku! Od tygodnia prawie
nie mam żadnej wiadomości, ostatnia Twoja kartka
datowana 26 stycznia, pismo od Ciebie dotąd mi nowym
do pracy, bo to pójdzie moje obecne siedzenie smutne
i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, aby
ci móc pokazać tak mi strasznie smutno za Tobą
drogi mój Kanicku, gdyby mi marnieje, nie proszę
temu przyczynieniu Konia byłoś to umrzeć
prawie. Oby z Kanicku, trzymamy się dobrze
Zosia jak zwykle zgrabna i [illegible] ale
straszny wisus, wyposażeniu chłopca. Ukochany
przyślemy Ci prawo fotografię ale chciałabym
mieć Twoją całą, bo z niczem jak mi [illegible]





Kazimierz powrócił do rodziny dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej, przedzierając się przez niespokojne tereny powstałej właśnie Ukraińskiej Republiki Ludowej, w towarzystwie przewodnika, który co jakiś czas przystawał i kazał sobie dodatkowo płacić. Zupełnie jak maszynista z powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, który zatrzymywał pociąg jadący do Polski i zarządzał „remontik”. Kazimierz rad nierad płacił, aż w końcu wydał wszystko, co miał. Wtedy złapał kompana za gardło, potrząsnął nim trochę, pogroził, a ten już

bez sprzeciwu i jakichkolwiek żądań poprowadził go w kierunku granicy. Kiedy Kazimierz stanął na progu lwowskiego mieszkania, miał ze sobą niewielki tobołek, a w nim między innymi fotografię pięknej, jasnowłosej kobiety.

– To tamtejsza – tłumaczył żonie i córce – chciała, żebym z nią został. Mówiłem jej, że mam w Polsce żonę i dziecko, a ona na to: *napliwat* na nich!

W pamiątkach po pradziadku znalazłam jeszcze inną fotografię przystojnej pani, z dedykacją na odwrocie, napisaną w języku rosyjskim: – *Mojemu wielce drogiemu przyjacielowi Kazmierzowi Edmundowiczowi od Loliczki*. A więc rzeczywiście miał go kto pielęgnować w czasie choroby, jak pisał w liście. Ale najważniejsze, że wrócił.

***

Rodzina Wierzbowskich przeniosła się do miejscowości Wydrze w powiecie żołyńskim, gdzie Kazimierz objął posadę Zarządcy Lasów Ordynacji Łańcuckiej hrabiego Alfreda Potockiego, którą to funkcję sprawował oficjalnie do 1933 roku. Jak opisuje Stanisław Kłos, obecnie teren Wydrza to rezerwat przyrody – *obejmujący wierzchowinę morenowego wzniesienia, porośniętą lasem mieszanym, z dominującym udziałem starodrzewu bukowego o charakterze buczyny karpackiej, stanowiącego*

*osobliwy relikt w Kotlinie Sandomierskiej. Tu też znajdują się skupiska modrzewia polskiego.****[1]***

Leśniczówka, stanowiąca wówczas służbowe mieszkanie Kazimierza i jego rodziny, położona jest w północno-zachodniej części wsi, niedaleko odgałęzienia drogi w kierunku Julina.[2] Pałac myśliwski hrabiego Potockiego w Julinie podlegał też Wierzbowskiemu jako zarządcy.[3]

Józefa, nazywana w naszej rodzinie „babcią Wierzbowską", która objawiała się w listach do Kazimierza jako kochająca i czuła małżonka, w stosunku do innych członków rodziny była surowa i despotyczna. Zawsze mówiła to, co myślała, a to nie przysparzało jej przyjaciół. Raz złożyła w kuratorium oświaty skargę na jednego z nauczycieli Zosi, który potem z zemsty próbował utrącić ją na egzaminie maturalnym. Kazimierz Wierzbowski był sprawiedliwy, ale i wymagający. Raz w gospodarstwie na Wydrzu, jedna z krów – Cyranka, zachorowała na zapalenie wymienia, bo służąca nie wydoiła jej dokładnie. Kazmierz zapowiedział dziewczynie, że ją wypoliczkuje, jeśli sytuacja powtórzy się z inną krową.

Zofia często przebywała poza domem, ale „nie krzywdowała sobie", jak sama mówiła. Miała dobry kontakt z rodzicami i pisywała do nich długie listy. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie Sióstr Boromeuszek w Łańcucie (obecnie Zespół

Szkół Nr 1 im. Janusza Korczaka). Kiedy po maturze przebywała wraz z matką w Zakopanem, przechodziły ulicą obok tamtejszej, renomowanej szkoły hotelarskiej. Przystanęły przed budynkiem i zajrzały do środka przez oszklone drzwi. Nagle Józefa wykrzyknęła z radosnym zdumieniem:

– Tatarzanka!

Dyrektorka placówki, panna Tatarzanka, która właśnie pojawiła się w hallu, była szkolną koleżanką Józefy z Wiednia. Dzięki temu niespodziewanemu spotkaniu Zofia, wprawdzie z opóźnieniem o jeden semestr, ale „wskoczyła" na pierwszy rok i ukończyła tę szkołę. Poznała tu swoją przyszłą szwagierkę, Eleonorę Annę Balicką. Kolejnym etapem jej edukacji była Szkoła Kosmetyczna doktora Rychwickiego w Krakowie, z której zachowało się świadectwo oraz zeszyt z notatkami. Znajdują się tam przepisy, między innymi jak sporządzić krem do cery suchej i jak działają różne substancje. Egzamin końcowy składał się z trzech przedmiotów: fizjologia i przemiana materii z endokrynologią, dermatologia ogólna oraz ćwiczenia praktyczne. Po ukończeniu szkoły Zofia miała zacząć praktykę w jednym z krakowskich zakładów kosmetycznych, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował jej plany i wróciła na Rzeszowszczyznę. To doświadczenie nastawiło ją sceptycznie do robienia planów na przyszłość. Uważała, że nie warto, bo w życiu pojawiają się czynniki od nas niezależne, które wszystko zmieniają.



Dom Wierzbowskich w Łańcucie, lata 30.

W 1938 roku Wierzbowscy ukończyli budowę domu w Łańcucie. Stanął na tak zwanym spadzie, czyli od strony ulicy Tkackiej wyglądał na dwukondygnacyjny, zaś od strony podwórza na jednokondygnacyjny. Tam, gdzie z Tkackiej widać było normalne okna w pokojach na parterze, z drugiej strony znajdowały się pomieszczenia piwniczne z małymi okienkami u góry. Zamieszkane było głównie piętro, które składało się z czterech dużych pokoi oraz kuchni i łazienki. Każde pomieszczenie miało osobne wejście, a wszystkie były dodatkowo połączone

wewnętrznymi drzwiami.

Babcia Zosia nie „bałakała” typowo po lwowsku, z charakterystycznym, śpiewnym akcentem, aczkolwiek używała niektórych słów i zwrotów, wywodzących się z tamtejszej gwary inteligenckiej. Na garnek z długą rączką mówiła „rynka”, na młodą cebulkę z nacią „trybulka”, sernik nazywała „serowcem”, choinkę bożonarodzeniową „drzewkiem”, a krawcową „krawczynią”. Swego czasu spodobało mi się słówko „cypundrak”. Babcia nazwała tak kiedyś moją sympatię z czasów szkolnych. Prawdopodobnie też podobałam się temu chłopakowi, ale nie potrafił mi tego okazać, bojąc się wyśmiania przez kolegów.

– Daj sobie spokój z tym cypundrakiem – poradziła mi.

Po paru miesiącach, kiedy miałam już nowy obiekt zainteresowania, zapytałam babcię, kto to jest ten „cypundrak”.

– To takie „ni to, ni sio” – wyjaśniła.

Innymi słowy człowiek chwiejny, nie wiedzący czego chce, zachowujący się raz tak, raz inaczej. W czasach młodości mojej babci i prababci było takich zdecydowanie mniej, ale na pewno istnieli, bo skąd wzięłaby się ta urocza nazwa? W każdym razie mój pradziadek, który mimo siedmiu lat rozłąki „nie napliwał” na

pozostawione w Polsce żonę i córkę, nie okazał się „cypundrakiem”.

***

„Załubkami na żeniaczkę”

Podczas okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wierzbowski został pacjentem doktora Władysława Balickiego, swojego przyszłego zięcia. Potrzebował stałej opieki lekarskiej, ponieważ skutki przebytego w niewoli rosyjskiej tyfusu poważnie zaciążyły na jego zdrowiu. Mocne serce, dzięki któremu wyszedł z choroby, bardzo się osłabiło. Doktor zalecił mu paromiesięczną kurację w Krynicy, dokąd Kazimierz udał się w lecie 1941 roku. Alfred Hrabia Potocki napisał do niego pod koniec lipca z Julina. Miał ładne, ale rozwlekłe pismo. W jednej linijce mieściły się zaledwie cztery wyrazy, więc trzy serdeczne zdania zajęły mu całą stronę.

> *Szanowny Panie! Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał dorocznym zwyczajem, tylko smutno było bez Pana! Mam nadzieję, że kuracya i wypoczynek Panu dobrze robią i że Pan wnet do nas powróci. Oczekujemy Pana wszyscy! Łączę wyrazy prawdziwego poważania. Potocki.*

Julin 25 lipca 1941

Szanowny Panie!

Julin bardzo pięknie
wygląda i serdecznie
mnie witał, dowiedzieć
wyczekując, tylko smutno
było bez Pana! Mam
nadzieję, że kuracja i wypo-
czynek Panu dobrze robią
i że Pan wnet dobrze powróci
oczekujemy Pana wszyscy!

Tego wyrazy
prawdziwego poważania
Potocki



Alfred hr Potocki

Leczenie sanatoryjne mojego pradziadka nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Najlepsze ośrodki, z największymi wygodami były wówczas „nur für Deutsche”, a Polakom pozostawiono domy wypoczynkowe drugiej, lub trzeciej kategorii, leżące na wzniesieniach. Kazimierz mieszkał właśnie w jednym z tych wyżej położonych i podczas każdej wędrówki bardzo się męczył. Kiedy wrócił do domu, Józefa natychmiast napisała list do doktora.

> *Krynica wywarła jak najfatalniejszy wpływ na stan zdrowia mojego Męża. Przede wszystkiem zrujnował sobie zupełnie żołądek i z powodu braku apetytu opadł zupełnie na siłach. Obecnie stan jego zdrowia jest zupełnie niezadowalniający, wprawdzie chwilami trochę się polepsza, ale bardzo często brak mu tchu, przy tym stale cierpi na bezsenność. Najbardziej niepokojącym objawem jest to, że ujawniła się prócz tego niedyspozycja wątroby i nerek, odczuwa dotkliwy ból przy głębszym oddychaniu. Jest więc obawa, czy nie ma coś wspólnego z płucami. Wobec tego prosimy bardzo wielce Szan. Pana Doktora o jak najrychlejsze przybycie.*

Władysław był częstym gościem w leśniczówce na Wydrzu. Zofia zorientowała się, że wpadła mu w oko, choć początkowo nie miało to dla niej większego znaczenia. Zimą Władysław przyjeżdżał ze swojej rodzinnej wsi Woli Dalszej saniami zwanymi „załubki”, którymi powoził jego brat Emil; oficjalnie na wizytę do chorego, ale Emil śmiał się, że wozi Władka „na żeniaczkę”. Załubki były przechowywane w stodole w gospodarstwie Balickich na Woli, ale już dawno rozsypały się ze starości.

Pewnego wrześniowego popołudnia 1942 roku obecność doktora Balickiego ocaliła rodzinę Wierzbowskich przed sześcioma ukraińskimi bandytami, którzy wtargnęli do leśniczówki podając

się za żołnierzy Armii Krajowej. Na Rzeszowszczyźnie wprawdzie nie odnotowano przypadków grasowania band UPA, ale mogły to być niedobitki większych oddziałów partyzanckich, które zostały najpierw rozbite, a potem połączyły się w mniejsze grupy i plądrowały okoliczne miejscowości.

Jeden z intruzów, prawdopodobnie przywódca, oznajmił, że potrzebują żywności i ubrań, po czym zaczęli bezceremonialnie buszować po domu i wynosić co cenniejsze rzeczy.

– Jacy z was żołnierze?! – zawołała oburzona Józefa. – Bandyci jesteście i tyle!

Wtedy dwóch zbirów przystawiło jej i Zofii pistolety do skroni. W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Władysław, który właśnie skończył badać Kazimierza, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

 – *Eto wracz!* – zawołał na jego widok jeden z Ukraińców, a w tonie jego głosu słychać było szacunek. Bandyci nie zrobili nikomu krzywdy, zadowalając się rabunkiem. Po ich odejściu Wierzbowscy sporządzili dla posterunku żandarmerii w Łańcucie protokół z zajścia, w którym wymienili wszystkie zabrane rzeczy: piętnaście koszul męskich, osiem damskich, bieliznę, trzy męskie garnitury, dwie pary sportowych spodni, jedną damską garsonkę, gabardynowy płaszcz męski, skórzaną czapkę, materiał na

garnitur, dwa wełniane koce, trzy pary butów – męskich i damskich, dwie sukienki, czternaście par skarpetek, siedem par pończoch, dwadzieścia chusteczek do nosa, dwa obrusy, cztery prześcieradła, poszwy na kołdry i poduszki, cztery zegary, trzy pary nożyczek, scyzoryk, golarkę i nóż do golenia, trzy teczki skórzane, jedną torbę myśliwską, szkło powiększające i gotówkę w wysokości 5200 złotych. Protokół sporządzono na maszynie, a przy każdym zrabowanym przedmiocie wpisano jego wartość. Posterunkowy o nazwisku Lisowski, który przyjął protokół, poskreślał ołówkiem niektóre sumy i wprowadził inne, o trzy razy mniejszej wartości. Tym samym ołówkiem sporządził na osobnym arkuszu papieru notatkę w języku niemieckim:

> *Potwierdza się, że dnia 20. września 1942 r. na Wydrzu koło Żołynii, sześciu uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na leśniczówkę. Wtedy, na szkodę Zarządcy Lasów Kazimierza Wierzbowskiego, zostały zrabowane wyżej wymienione rzeczy. Dochodzenie, prowadzone przez miejscowy posterunek policji, jak dotąd nie przyniosło rezultatów.*

***

Śmierć na wygnaniu

Mimo że dom w Łańcucie został już wybudowany i urządzony, Wierzbowskich ciągnęło stale na Wydrze, być może ze względu na trudności z zaopatrzeniem w żywność w czasie wojny. Nie było tam jednak zbyt bezpiecznie, na co najlepszym dowodem jest wyżej opisany napad Ukraińców. Dopiero po tym incydencie i z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Kazimierza, rodzina Zofii zdecydowała przenieść się na stałe do Łańcuta. Ale nie było im dane cieszyć się długo własnym kątem.

Ich dom spodobał się jednemu z miejscowych *volksdeutschów*, który zapragnął odnająć jego część, ale Wierzbowscy nie zgodzili się na to. Wówczas on opowiedział „komu trzeba", jaka to atrakcyjna posiadłość znajduje się przy Webenstrasse, czyli ulicy Tkackiej. Wkrótce potem dom odwiedziło kilku żołnierzy niemieckich, którzy poprosili, żeby oprowadzić ich po obejściu. Wchodzili do pokojów i oglądali każde pomieszczenie, komentując *hübsch, alles hübsch*[4]. Potem pożegnali i się i wyszli. Następnego dnia Wierzbowscy dostali nakaz natychmiastowej eksmisji. Ich posesja miała odtąd służyć za kwaterę dla niemieckiego oficera. Dokładnie w wigilię 1942 roku cała rodzina przeniosła się do mieszkania państwa Adamczaków, przy sąsiedniej ulicy Jana Cetnarskiego, (zwanej też Browarną), gdzie od tamtej pory gnieździła się w ciasnym pokoiku. Moja mama (córka Zofii) do dziś nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosili hrabiego Potockiego o interwencję, bo on na pewno ujałby się za rodziną zaufanego pracownika. W tym

przymusowym schronieniu, 8 sierpnia 1943 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarł Kazimierz. Był to ogromny cios, zwłaszcza dla Józefy. Całkowicie oddawała się rozpaczy, więc córka sama musiała zająć się formalnościami pogrzebowymi. Z jednej strony trudno się dziwić, bo Józefa rozstała się z małżonkiem po raz drugi, po wspólnie przeżytych dwudziestu dwóch latach.



Narzeczeni – Zofia Wierzbowska i Władysław Balicki

Ów *volksdeutsch*, za którego sprawą wyrzucono Wierzbowskich z ich posiadłości, upatrzył sobie Zofię jako kolejną ofiarę swoich machinacji. Chciał, żeby wysłano ją do Niemiec na roboty, co się

nie udało, ponieważ miała pracę w Łańcucie i to aż w trzech miejscach: od 1940 roku jako pielęgniarka w lokalnym oddziale PCK, a także w ogrodach hrabiego Potockiego. W okresie narzeczeństwa Władysław wydał jej zaświadczenie, że zatrudnia ją w swoim gabinecie przy ulicy Konopnickiej jako „Bürohilfe", czyli „pomoc biurową". Ślub wzięli 12 lutego 1944 roku, w kościele parafialnym w Wysokiej Łańcuckiej, na pięć i pół miesiąca przed wyzwoleniem tych terenów, co nastąpiło 29 lipca. W dokumentach rodzinnych przechowało się kilka listów gratulacyjnych od krewnych i przyjaciół, którzy nie mogli przybyć na uroczystość z powodu wojennych trudności z komunikacją.

Przed opuszczeniem Łańcuta hitlerowcy podłożyli w piwnicy domu przy ul. Tkackiej bombę zegarową, która na szczęście została w porę rozbrojona. Młodzi państwo Baliccy wraz z Józefą powrócili do domu przy ulicy Tkackiej w 1945 roku. Władysław Balicki stał się wkrótce znaną postacią w całym regionie jako lekarz i społecznik, który pielęgnował lokalną kulturę. Jednym z jego osiągnięć było uratowanie przed rozbiórką łańcuckiej synagogi w 1955 roku. Ale to już zupełnie inna historia.

Przypisy:

[1] Stanisław Kłos, Łańcut i okolice, PUW „Roksana”, Krosno 1998, s. 7 i 71

[2] Por. Tamże

[3] Por. Zbigniew Pelc, Mój Łańcut, wyd. Techgraf – Łańcut Podzwierzyniec, 1997, s. 279

[4] Niem.: ładnie, wszystko ładne.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.

Zabawy karnawałowe i słynne przyjęcia

u Potockich w Łańcucie



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Na zdjęciu hrabia Alfred Potocki, księżna Kentu Marina, księżna Elżbieta Lichtenstein (na tylnym siedzeniu z lewej) i towarzyszące im osoby podczas przejażdżki powozem, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie,

polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna – ordynata, matka – wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy 70-tkę. Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału, królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

> Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście,- wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski – mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat

> jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinnie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od Powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru – Suzenitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty z kręgami dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w Bieszczady był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy. – *Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał* – pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach".

> Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości zza granicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.



Alfred Antoni Wilhelm Roman Bazyli Potocki, ostatni (IV) ordynat Łańcuta

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred starannie opisywał:

> *…król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse", jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.*
>
> …Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że książę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą – opisuje dalej hrabia

Alfred – Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King”, potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a’la Daumont. Przed herbatą książę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzeć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Książę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nieudawaną przyjemnością jaką odczuwał z pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których książę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmilszych wspomnień.



Wnętrze zamku w Łańcucie, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Polowania, muzyka i taniec stały się tradycyjną częścią sposobu życia.

> Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas – wspomina Alfred Potocki. – Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.

Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy". Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpisały, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przepraszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane. Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie

wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem” według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, w gorzelnię Alfreda Potockiego trafiła bomba, alkohol zaś rozpłynął się po okolicach. Żołnierze radzieccy, nie mogli wyjść z podziwu, jaki tu jest dobrobyt i jaka to wspaniała urodzajna ziemia, skoro wódka strumieniami płynie.



Wnętrze zamku w Łańcucie, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

---

Źródła:

Aleksander Świątoniowski – lokaj Potockich z pierwszego piętra, rozmowa.

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w

Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Ze wspomnień starego lokaja

https://www.cultureave.com/ze-wspomnien-starego-lokaja/